



Dzięki nauce Mieczurina Związek Radziecki stał się krajem wysokich urodzajów. Pięknie obrodziły w tym roku jabłonie w sadzie ukraińskiego kołchozu w pobliżu Kijowa.

Urzędnik z Kozłowa i jego sad

Radziecki świat naukowy obchodzi w październiku br. setną rocznicę urodzin Iwana Mieczurina (1855—1955) wybitnego radzieckiego biologa, wielkiego przeobraźcy przyrody, którego prace zapoczątkowały nowy etap w rozwoju darwinizmu. W naszym kraju Dni Mieczurina włączone zostały do tegorocznego Miesiąca Poglądów Przyjacieli Polsko-Radzieckiej.

Ze nie zawsze w życiu wykonywany zawód, pokrywa się z naszymi upodobaniami, widzimy to na przykładzie życia Mieczurina. Był bowiem przez długi czas urzędnikiem kolejowym na małej stacji Kozłowo (obecnie Mieczurinsk) w obwodzie Tambowskim, nad rzeką Lesną, dopływem Donu, i tam w ogrodzie przy budynku kolejowym, na powierzchni zaledwie 150 m² rozpoczął pierwsze prace doświadczalne, które miały w przyszłości przynieść sławę, a krajowi nowe odmiany owoców i przesunięcie ich uprawy ku środkowej i północnej Rosji.

Oczywiście przestrzeń 150 m² okazała się wkrótce za małą. Mieczurin przeniósł swe drzewka i krzewy do nowego ogrodu, obejmującego już 12 hektarów. Ogród ten stał się początkiem dzisiejszego wielkiego doświadczalnego pola Instytutu Badawczo-Naukowego Radzieckiej Akademii Nauk. W domu, gdzie mieszkał Mieczurin, znajduje się obecnie muzeum, zawierające warsztat jego pracy, bibliotekę i notowania spostrzeżeń naukowych. Mieczurin był nie tylko wielkim przyrodnikiem, praktykiem, lecz interesował się też konstrukcją maszyn, badał chemię i fizykę, był dobrym rysownikiem i nawet skonstruował zegar chodzący bez nakręcania 40 dni. Do osiągnięć swych doszedł jako samouk, gdyż z gimnazjum usunięty został za „nieposłuszeństwo wobec władzy”.

Jako eksperymentator łączył ściśle naukę z praktyką. Wszystkie jego prace biorą początek w teoriach wielkich biologów Lamarcka i Darwina i stanowią rozwinięcie i pogłębienie ich poglądów. We wszystkich badaniach swoich Mieczurin miał na celu poznanie natury organizmów, cech dziedzicznych i ich zmienność, aby nagiąć je do potrzeb człowieka.

Biorąc sobie za zadanie otrzymanie nowego gatunku rośliny, szczegółowo badał formy pierwotne, brał pod uwagę specyfikę ich indywidualnego rozwoju i nie tylko historię tej bezpośrednich przodków, lecz również dalszych „krewnych”.

W referacie ogłoszonym w 1923 roku pt. „Praktyczne wyniki organizatorów nowych odmian owoców” — Mieczurin pisał, że bez stosowania celowej metody hodowli nasienia, nie można uzyskać trwałego gatunku drzewa owocowego. Warunki środowiska stanowi-

decydujący czynnik, określający cechy dziedziczne danej rośliny.

Mieczurin pracował niezmordowanie nad doskonaleniem swych cennych doświadczeń. Sad przez niego założony jest w dalszym ciągu ośrodkiem doświadczalnym. Od chwili śmierci Mieczurina upłynęło 20 lat. W ciągu tego czasu nauka Mieczurina wzbogacona została przez nowe badania naukowe. Do dzieła zakładania wysokogatunkowych ogrodów, plantacji winogronowych, mandarynowych i innych drzew cytrusowych, wnoszą swój wkład nie tylko uczniowie Mieczurina, lecz setki tysięcy eksperymentatorów w Związku Radzieckim i w innych krajach.

Fr. H.

Gdy fantazja staje się rzeczywistością

Około sto lat temu Juliusz Verne zyskał sobie na świecie ogromny rozgłos przez napisanie fantastycznej powieści na temat podróży na Księżyc. Olbrzymi pocisk, zawierający wewnątrz pomieszczenia dla załogi, aparaty naukowe itp., miał być wyrzucony z ogromnego działu z prędkością 15 km/sek., aby dolecieć samym rozpędem na Księżyc, okrążyć go i spaść na Ziemię.

Głównym wielbicielem jego fantazji był, jak sam o tym pisał, Konstanty Ciolkowski, nauczyciel matematyki i fizyki w Kaluzie,

naprawdę oderwać się od Ziemi, czyli pokonać jej grawitację, i poruszać się swobodnie w przestrzeni.

Ciolkowski był pierwszym na świecie człowiekiem, który doszedł do tego poznania, po czym zabrał się do pracy nad teorią lotu przyszłego pojazdu przestrzennego.

W ten sposób ubogi chłopak, syn Polaka z Wołynia, stworzył teorię rakiet, ważną po dziś dzień, którą wydał drukiem w roku 1903.

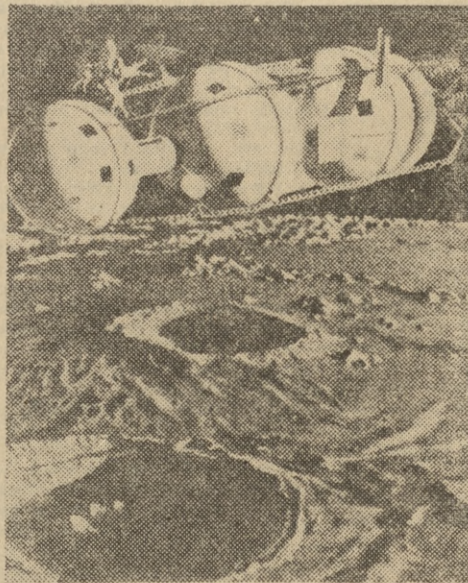
Dopiero w 20 lat później pokazały się na zachodzie podobne prace,

których autorami byli Niemiec Oberth, Francuz Esnault-Pelterie i Amerykanin Goddard. Ich wywody pokrywały się z teorią stworzoną przez genialnego samouka w dalekiej Kaluzie.

Rakietę pędzi silnik przez spalanie paliwa i odrzucanie w tył wielkich mas spalin, co w drodze odrzutu stwarza siłę ciągu naprzód. Spalane paliwo musi pędzić oczywiście nie tylko sam korpus rakiet, ale także wszystko co się w niej znajduje, a więc i ogromne zapasy paliwa, którego w locie ciągle ubywa.

Tę wzajemną zależność między prędkością rakiety a ubytkiem paliwa ujął Ciolkowski drogą prostego a genialnego rachunku ująć w odpowiedni wzór matematyczny, czyli stworzył prawo ruchu rakietowego, zwane krótko prawem „sto sunku mas”, które musi brać pod uwagę każdy konstruktor rakiet, aby pojazd mógł być zdolny do ruchu w przestrzeni próżni.

Oczywiście każdy zapyta, dlaczego mimo upływu przeszło pół wieku od pojawienia się tej wspa-



Tak prawdopodobnie odbywać się będzie lądowanie pierwszej rakiety na Księżycu.

niedaleko Moskwy. Od dziecińczy lat marzył o podróży na planety i gwiazdy. Ale równocześnie, o głodzie i chłodzie, uczył się gorliwie, przeważnie jako samouk, i ze zdobytych wiedzą zabrał się do rozwiązywania zagadnień lotu międzyplanetarnego w sposób naukowy.

Przed wszystkim przedkładał do słusznego przekonania, że fantazja Verne'a nie da się zrealizować. Nie — pocisk, wyrzucony jednorazowym wybuchem materiału strzelniczego, lecz tylko rakietą, czyli pojazdem, posiadającym własny silnik, zapas paliwa, ster itp., może

ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 18 IX 1955
Rok VI Numer 36

Prawo do życia

Stefan Kornik

Spotykam ich każdego ranka na przystanku tramwajowym. Jest ich trzech — wesołych, zdrowych, opalonych chłopaków w studenckich czapkach. Mówią sobie po imieniu; stąd wiem, że imiona ich brzmią: Józek, Kazik i Rysiek. Wiem też, z ich rozmów, że Józek studiuje prawo, Kazik agronomię, a Rysiek — chemię. Są to chłopcy z prawdziwego zdarzenia; nie mówcie więc o schematyzmie, jeśli o tym, że wszyscy trzej należą do ZMP, noszą znaczki ZMP-owskie.

Rozmawiają — jak wszyscy młodzi chłopcy — o sporcie, o kinie, o dziewczętach (znam nawet ich imiona — ale cóż, obowiązuję mnie przecież dyskrekcja). Rozmawiają też o nauce; sądzą, że nie są — jak to się mówi „orłami”, ale czują, że wkładają w naukę dużo zapatu i wszystkie swoje zdolności. Są w każdym razie zadowoleni z wyboru kierunku studiów, co wnoszą z ich planów na przyszłość. Józek postanowił zostać sędzią dla małoletnich, Kazik będzie pracował w PGR (zdaje się, że pochodzi ze wsi), a Rysiek — może Kędzierzyn, może coś podobnego (aha, porwały go budowie socjalizmu!).

Polubiłem tych chłopców, choć nie znam ich bliżej. Podobają mi się ich prosty sposób bycia, podobają mi się ich pogody rozmowy, ich plany na przyszłość. Przed chłopcami tymi, jak przed całą naszą młodzieżą, stoi otworem piękne, bujne życie.

W skrzynce z rupieciami

Przeglądałem wczoraj różne rupiecie, leżące w skrzynce w piwnicy. Wśród nich znalazłem książkę Aleksandra Ju-

noszy Olszakowskiego pt. „Prawo do życia”. Przerzuciwszy parę kartek, postanowiłem zabrać ją do mieszkania.

Leży teraz przede mną ten mały, ubogi, nieestetycznie wydany tomik (coż, nie były to złote czasy dla ludzi, pisujących książki). Wydawca: Dom Książki Polskiej, Sp. Akc., Warszawa 1935. To nie wiele mówi. Przewracam kartkę — o, tu się czegoś dowiem; czytając „Tęgoż autora: „Eskapada miłosna”, „Grobowiec w Benihassan”, „Tango”, „Niesamowita miłość”. Takie tytuły miały przyciągać czytelników do lektury wątpliwej wartości książek. Tytuły te odzwierciedlają także aspiracje literacko-społeczne pisarza: szybko i łatwo zdobyć sobie popularność, nie wchodząc przy tym w konflikt z węższymi wszędzie „wywrotowców” władzami sanacyjnymi.

Ale książeczka, która leży na moim biurku, nie jest jednak typowym, mdłym powieścielcem. Nie znaczy to wcale, że odznacza się ona jakimiś walorami artystycznymi, że brak jej tego tandetnego, tak cenionego przez znużonych mieszczuchów sentymentalno-miłosnego pieprzyka. Owszem, jest bohater — „stuprocentowy” mężczyzna, dysponujący ścią piekielną siłą ciosu, jest jego ukochana, złotowłosa, choć zubożała ziemianka, jest demoniczna uwodzicielka-rozwódka. Bohater jednak jest — uważając — bezrobotnym inteligentem. Występuje on przy tym nie w oderwaniu od środowiska, ale na tle całej masy podobnych sobie wykołajców,

dla których burżuazja miała zaledwie gorzki chleb bezrobotnia, zapijany odstąpą wodą frazesów hurra-ojczyznianych.

A więc — problem społeczny? Niech i tak będzie: problem „nadprodukcji inteligencji” — jeden z mnóstwa problemów, nurtujących społeczeństwo przedwzręsnie. Ten właśnie problem usiłuje rozwiązać autor w swej powieści.

Bohater — Stefan Orkan — jest dyplomowanym doktorem praw, lat trzydziestu.

Przysłuchajmy się rozmowie Orkana ze spotkanym po latach kolegą szkolnym, Witoldem Chojezą. To także bezrobotny inteligent, z wykształcenia inżynier-budowniczy, a chwilowo — dzierżawca ogrodów i handlarz owocami.

Nadprodukcja „cenzusowców”

Oto mówi Orkan:

„... po ukończeniu szkoły wstąpiłem na uniwersytet i sześć lat temu ukończyłem prawo. Myślałem, że znajdzie miejsce w jakiejś kancelarii lub sądzie. Przekonałem się jednak, iż zamiar mój znajdował się w sferze nieziszczalnych marzeń. Łatwiej jest obliczyć, z ilu gwiazd składa się mgławica Andromedy, aniżeli otrzymać posadę bez protekcji. Musiałem więc pracować jako zwykły biurowiec w różnego rodzaju firmach i kantorach, a czasem udawało mi się zająć miejsce w jakimś urzędzie publicznym w charakterze maszynisty, stenografa lub korespondenta zagranicznego. Niedługo to jednak trwało, gdyż musiałem ustępować miejsca kuzynom lub kuzynkom naczelnika lub dyrektora! — Dziś nie nie robię! Od jutra zacznę starać się...”

Jak odbywały się te starania? „... przyjmowano z rąk jego po raz setny bodaj przepisywany życiorys wraz z odpisami świadectw i zazwyczaj kazano mu dowiadywać się o rezultacie po upływie miesiąca. Czas ten jednak nie dłużył mu się zbyt. Miał w kilku miejscach złożone podania. Co dzień przypadał termin jednego lub więcej zgłoszeń. W ten sposób mieszając upływał szybko, jak przy ciężkiej pracy...”

Chojezy robi się żal przyjaciela.

„Czy tego rodzaju życie nie męczy cię, Stefanie? — spytał, poważniejąc.”

Orkan rozłożył ręce.

— A cóż mam robić? Jeszcze trzeba i żyć się chce!”

Przyjacieli Orkana, Chojeza, to „człowiek z lokciami”. Jest on pozbawiony „pewnych skrupułów” — jak mówi — „którymi nasze inteligentne mózgi są nasycone”. Wie on, że w społeczeństwie kapitalistycznym dobre zęby i pazury zaw-

Rycerz XX wieku



Rycerz, o którym mowa — w wielkiej odlewni leningradzkiej otrzymał specjalną zbroję, z blyszczących blaszek, które odbijają promieniowanie ciepłe pieca i ciekłego metalu. Ciężar takiego kostiumu metalowego wynosi około 3,5 kilograma. Gdy praca odbywa się we wnętrzu nie całkiem wygaszonego pieca, gdzie temperatura wynosi jeszcze wyżej 100 stopni, to wówczas robotnik ma do dyspozycji strój szczelny, wykonany z cienkiej blachy aluminiowej, czyli kompletny skafander, wyposażony w wentylator i mikrofon. Na piersiach robotnika ma zbiornik z tlenem dla uzupełnienia powietrza we wnętrzu skafandra. Mikrofon pozwala porozumiewać się z kolegami z zewnątrz pieca na wypadek potrzeby pomocy. (b)

sze pozwolą wypłynąć na powierzchnię. Nie udało mu się dostać pracy w swoim zawodzie, więc „machnął ręką i poszedł w inny sposób zarabiać na życie”.

„Nie powiesz mi chyba, że tańczysz w balacie lub kręcisz pigułki w składzie aptecznym?” — pyta go Orkan.

„Gdyby to dawało dobry dochód, bez wątpienia byłbym to uczynił!” — oświadcza Chojeza.

Zaraz, zaraz! Z czymś podobnym już się gdzieś spotkałem... Ależ tak! Oslawiona organizacja pomocy studentom pod hasłem: „Zadzwoń, student! Zrobisz wszystko!”, działająca w Niemczech adenaue-rowskich. Studenci trzępią dywany, zmywają naczynia, noszą węgle, czyszczą ustępy — dlaczego więc nie miałby inżynier architekt tańczyć w balacie?”

Zresztą dobrze by robił — argumentuje Chojeza — bo:

„Iluż to ojców i ileż matek zabiło sobie klina w głowę, że syn ich musi być doktorem lub inżynierem, a wtedy będą spokojni o los dzieci, bowiem wysoki cenzus naukowy zabezpiecza przyszłość. Nie bardziej fałszywego ponad to pojęcie! Zapytasz się dlaczego? Bo jest nadprodukcja ludzi z cenzusem, tak jak mamy nadprodukcję kawy w Brazylii, gdzie tym kosztownym i odżywczym artykułem pali się w piecach wielkich hut

(Dokończenie na str. 3)

W moskiewskich parkach



Fragment parku Centralnego Domu Armii Radzieckiej w Moskwie.

E. BIALOBORSKI

Fot. — CAF

Polski malarz w stolicy nad Newą

SIÓDMY POMNIK W WEIMARZE

Mickiewicz jest jednym z najwspanialszych polskich poetów. Jego twórczość jest nieśmiertelna. W Weimarze, gdzie mieszkał, stał się symbolem polskości. W 1827 roku, kiedy przyjechał do miasta, został przyjęty z wielką honoracją. Jego imię było znane i kochane. W 1840 roku, kiedy zmarł, w Weimarze stał się bohaterem. Jego twórczość była dla Polaków w Niemczech źródłem dumy i siły. W 1857 roku, kiedy odbyła się jego pogrzeb, w Weimarze stał się wydarzeniem. Jego twórczość była dla Polaków w Niemczech źródłem dumy i siły.

zbyt słabymi przekładami niemieckimi, nie oddającymi czaru poezji i siły wyrazu jej myśli. Drugim powodem było niedocenywanie przez naród niemiecki kultury słowiańskiej. Aby zrozumieć Mickiewicza trzeba poznać historię Polski i jej literaturę, a tego brak jest przeciętnie kulturalnemu Niemcowi. Łukę tą starają się obecnie wypełnić demokratyczni pisarze niemieccy.

Leżące postępowe społeczeństwo niemieckie chce nie tylko znać dzieła Mickiewicza, lecz pragnie go uczyć na wzór największych pisarzy świata i wnieść mu pomnik. W „Berliner Zeitung” (nr 201) znajdujemy artykuł pt. „Siódmy pomnik”, którym ma być w Weimarze pomnik Adama Mickiewicza. „Stanać on powinien obok Goethego, Szekspira, Schillera, Herdera, Wieland i Puszkina, któremu pomnik wzniesiono już po wojnie”. „Każde z tych nazwisk — pisze dalej „Berliner Zeitung” — reprezentuje język i sposób myślenia danego narodu. Każde to nazwisko jest wyrazem humanizmu, wolności i pokoju wśród narodów. I każdy z tych geniuszów ma swój ważki głos w chórze geniuszów literatury światowej”.

O ile 150 rocznica urodzin Adama Mickiewicza w 1948 r. minęła w Niemieckiej Republice Demokratycznej prawie bez echa, co przypisać należy jeszcze świeżym przeżyciom wojennym, o tyle obecnie widzimy żywą reakcję społeczeństwa niemieckiego na apel światowej Rady Pokoju o uczczenie 100-lecia zgonu wielkiego pisarza polskiego.

W prasie codziennej i w periodykach znajdujemy omówienia twórczości Mickiewicza, wykazujące wnikliwość i zrozumienie dzieł Mickiewicza dla kultury ogólnoswiatowej. W szerokiej kołach społeczeństwa niemieckiego spopularyzowała postać Mickiewicza, przełożona na język niemiecki, książka M. Jastruna pt. „Mickiewicz”. Ogłoszona niedawno bibliografia przekładów dzieł Mickiewicza wykazuje sporą ilość pozycji.

Ostatnio w wydaniu niemieckim międzynarodowego miesięcznika „Dookoła Świata” znajdujemy obszerny artykuł z ilustracjami pióra Gerharda Schneidera pt. „Światowy ruch pokoju czerpiąc pamięć Adama Mickiewicza”. Autor tłumaczy stosunkowo małą dotychczasową znajomość pism Mickiewicza,

polaki rozpoczyna słowami: „Polska jest narodem bohaterów”, to widzi ten naród poprzez bohaterów poezji Mickiewicza, bohaterów tego ongiś u-mięconego narodu!

„Tylko nieliczni ludzie — pisze „Berliner Zeitung” — którzy zbliżyli się do Goethego, rozstrzygnęli swe imię. Wśród nich znajduje miejsce Adam Mickiewicz, poeta narodowy, jeden z największych i najgenialniejszych”.

Wzniesienie pomnika Adamowi Mickiewiczowi w Weimarze — zauważa pod koniec „Berliner Zeitung” — będzie mieć takie same znaczenie jak odsłonięcie pomnika Szekspira w 1904 r. w dniu urodzin tego wielkiego pisarza angielskiego. Był to bowiem znak odręczenia stosunków pomiędzy Niemcami i Anglią. Symbolem zbliżenia między narodami niemieckim i polskim stać się powinien pomnik Adama Mickiewicza w Weimarze. H. BARAŃSKI

ZE STARYCH SPARGATON

KRWAWY DESZCZ

W czerwcu 1755 r. spadł krwawy deszcz pod Grodziskiem. Tak notuje kronika reformatorów w Woźnikach i potwierdza zeznaniami dwóch mieszczan: Pawła Stęszewskiego i burmistrza Oraczewskiego.

Zachodzi tylko pytanie, czy w czasie tej krwawej ulewnej obaj mieszkańcy Grodziska byli na pewno trzeźwi i czy w takim stanie składali zeznania przed zakon-nikiem? (S)

UWAGA, ZŁODZIEJE!

A no — była bieda, a z biedą trzeba było kraść i to tam, gdzie najłatwiej — na jarmarkach. W roku 1763 na jednym z jarmarków w Buku władze miejskie zatrzymały grupę złodziejską, składającą się z 17 mężczyzn, 6 kobiet i 4 chłopów. Jedziła ona 3 wozami, kradła konie i pieniądze, a posuwając się aż do mordów. Na dłuższym aresztanckim chlebie w Buku zostało 4 złodziei, resztę wypuszczono na wolność. Zwolnieni — jak pisze kronika reformatorów z Woźnik — pozbiegali się ku Gostyniowi, pewnie celem dalszej kradzieży. (S)

CIEKAWOSTKI MUZYCZNE

Wśród ludów Azji

W skład 200-milionowego kraju radzieckiego wchodzi również ludy Azji, które przez wieki samodzielnego rozwoju kulturalnego miały zupełnie odmienne podejście do muzyki i dla których na przykład muzyka europejska była czymś obcym. Dotarcie z muzyką europejską do tych ludów Azji radzieckiej wydało z biegiem lat owoc. Muzyka Beethovena, Chopina, Bacha, Mozarta, Schumann, Debussy'ego — obok Czajkowskiego, Musorgskiego i Skriabin — przestała być czymś niezrozumiałym. Z drugiej strony ludy, o których do niedawna wiedzieli jedynie etnolodzy, jak np. Uzbeki, Kirgizi, Baszkirzy, stworzyli własne narodowe opery, a ormiański kompozytor — Aram Chaczaturian cieszy się dziś sławą światową na obu półkulach.

Gdy śpiewają żołnierze

Z 12-osobowego zespołu wojskowego klubu Armii Radzieckiej w Moskwie w roku 1928, wyrósł dziś liczący ponad 250 osób Żołnierski Zespół im. Aleksandra. Prof. Aleksandro, który aż do śmierci w roku 1946 kierował zespołem, przeszedł drogę od dyrygenta chóru do profesora Moskiewskiego Konserwatorium i kompozytora, autora wielu popularnych pieśni i muzyki do hymnu radzieckiego. W czasie ostatniej wojny zespół dał 27 tysięcy koncertów w klubach frontowych i okopach.

O czym mówią znaki masonskie w Śmiełowie

Artykuł nasz w jednym z poprzednich numerów dodatku „Nowy Świat” pióra Henryka Barańskiego pt. „Twórcy pałacu nad Lutynią” wywołał wśród czytelników zainteresowanie przeszłością Śmiełowa. Autor artykułu, omawiając freski Smuglewicza w pałacu śmiełowskim, zwrócił uwagę na insygnia masonskie (część z nich widzimy na zdjęciu), co dowodziłoby, że właściciele tej siedziby — Gozdziszewscy należeli do loży masonskiej. Potwierdzał by to również ośmiokątny kształt salonu recepcyjnego na parterze, w którym odbywały się prawdopodobnie zebrania masonskie. Może nawet Śmiełowski był stałą siedzibą wielkopolskiej loży masonskiej.

Przypuszczenia autora artykułu okazały się słuszne. Od literata i dziennikarza po znanego starszej generacji — Mieczysława Noskowskiego, redakcja nasza otrzymała list, w którym ten wieloletni badacz przeszłości Poznania i Wielkopolski pisze, że „nazwisko Gozdziszewskich figuruje w archiwum poznańskiej loży masonskiej, jako Braci wybitnie zasłużonych. Wśród nich wyróżnił się szczególnie Tymoteusz Gozdziszewski, arcybiskup gnieźnieński-poznański od roku 1809—1821, w którym to roku zmarł”.

Czy Adam Mickiewicz, przebywając w Śmiełowie w 1831 roku, z którego zamierzał przedostać się nielegalnie do powstania listopadowego w Królestwie, wiedział, że Go-

Chwyć swój szybki otówek, Rysuj, Orłowski, noc i bitwę... (Puszkina)

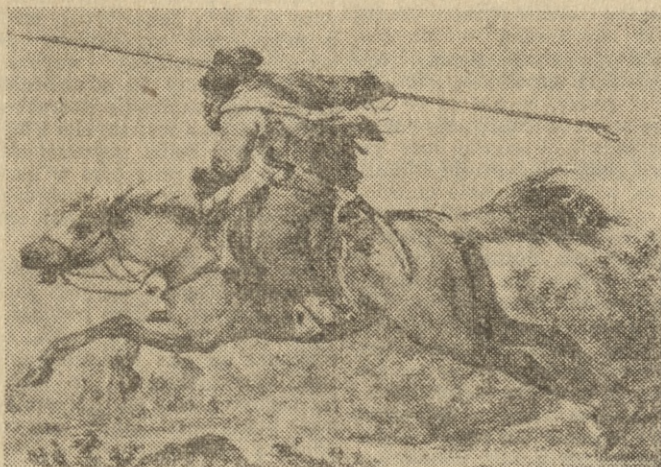
Cóż to za rumor powstał w miasteczku Siedlce, kiedy przed gospodą Orłowskiego zatrzymał się sznur wielkopolskich ekwipaży. Z najprzedszymszego z nich wysiedli księżstwo Czartoryscy i zwolna wstępując do wnętrza. A oto na piecu i na ścianach izby karczemnej jakieś rysunki węglem pokreślone... Księżna Izabella wydobyła łognon i bacznie przygląda się figurom energicznym konturem rysowanym. „A to kto robił?” — zapytuje. „Mój syn, Aleksander” — odpowiada Orłowski, zginając się w pokornym ukłonie. „Ależ to talent prawdziwy!” — z zapalem stwierdza księżna. „Trzeba chłopca kształcić... oddamy go do Norblina”.

I tak rozstrzygnięty los artysty. Syn ubogiego karczmarza jedzie na studia do Warszawy. Ale też i na tym skończył się jaśniepański mecenat. Czartoryscy nie zatroszczyli się więcej losem młodego malarza. Zajął się nim natomiast Norblin, który od razu zorientował się jaki to talent dostał się do jego „Malszuli”. Jednakże nauka nie szła łatwo. Młody uczeń, o niespokojnym, niemal że zawiadającym charakterze, nie nadawał się wcale do systematycznej pracy. Pokazało się to od razu w roku 1794, kiedy zaczęła się kościuszkowska insurrekcja. Orłowski, wtedy 16-letni chłopiec, ucieka ze szkoły do powstańczych szeregów. Ranny pod Żegrzem, leczy się w Warszawie; potem cierpi biedę, a do szkoły wracać nie myśli, tylko w wesołej kompanii pędzi czas na hulance rysując — swoim zwyczajem — ku uciechu współbiedniaków zabawne sceny i karykatury. To znowu zapala się do... cyrku i razem z wędrowną trupą objeżdża kraj.

Na szczęście opiekuńczy duch Norblina nie opuszczał młodego zawiadaka. Potrafił zawsze gdzieś go wyszukać, z jakiejś hulaszczkiej eskapady wydostać i

do stalugi sprowadzić. Niemniej jednak te różnorodne przeżycia pozwoliły Orłowskiemu poznać z bliska niemal wszystkie warstwy społeczne: od pola walki i żołnierskich szeregów, od biedoty wiejskiej i podmiejskich zaułków aż do salonów „Pod Blachą”, dokąd go książę Józef często zapraszał, by mu „gości rysunkami zabawił”.

Przyczyniało się to wszystko do wzbogacenia jego plastycznej wyobraźni i znajdowało odzwierciedlenie w twórczości artysty, którego nazwisko w Warszawie zaczynało się ustalać. Wyrobiły mu tę sławę epizody z powstania kościuszkowskiego — wśród nich znakomity portret Naczelnika — wreszcie sceny rodzajowe. Malował je przezwrotnie tuszem lub sepią utrzymując w stadium dobrze zaawansowanego szkicu. Poza tym tworzył wiele rysunków kredką, ołówkiem lub piórem, robionych „na gorąco”, bardzo



Al. Orłowski: „Kozak”

żywych i prawdziwych. I ten szkieletowy charakter, odpowiadający temperamentowi Orłowskiego, jest najwłaściwszą cechą i zaletą jego talentu a zarazem pierwszym przejawem narodowego nurtu w naszym malarstwie. Osobny dział jego twórczości to krajobraz, w których znakomicie oddaje piękno polskiej ziemi.

Rok 1802 staje się decydującą datą. Żądno wrażeń artystę pociąga Wschód. Wyjeżdża do Petersburga, stolicy potężnego wówczas państwa carów, gdzie spędził 30 lat swego bujnego żywota. Tutaj wpada w nowe zupełnie otoczenie, w nowe warunki i ustala sobie od razu pozycję wybitnego malarza.

Nowe środowisko narzuca nową tematykę. Orłowski żywo reaguje na nowe życie, nowych ludzi, do tej pory niespotykanych. I tak powstają „Trójki”, typy chłopca rosyjskiego, żołnierza, urzędnika, sceny rodzajowe. Jednakże szczególnie pasjonuje go prawdziwy wschód i jego egzotyka. Na ulicach Petersburga spotyka Tatarów, Gruzinów, Persów w oryginalnych strojach i oni stają się bohaterami jego obrazów malowanych tuszem lub sepią. Podziwiał w nich więcej wódzów perskich i tatarskich na wspaniałych koniach, pełne dynamiki sceny bitewne, wreszcie rozbójników na tle dzikiej górskiej przyrody. W r. 1818 pierwszy w Ro-

si zaczął używać techniki litograficznej.

W niedługim czasie staje się sławnym i wziętym. Obrazy jego idą za cenę złota w Petersburgu i za granicą. Prowadzi wesołe i wystawne życie, przyjmuje i bywa w najlepszych towarzystwach. Utrzymuje żywe stosunki z artystycznym i literackim światem rosyjskim. Bywa oczywiście w domach polskich. Na sławnej uczcie w domu Rogalskiego, wyprawionej dla Mickiewicza w dniu jego imienin w r. 1827, młody poeta improwizował tragedię „Samuel Zborowski”, a Orłowski w przeciągu 2 godzin wykonał 14 rysunków.

Te 30 lat związały artystę mocno z kulturą i sztuką rosyjską i zadzierzgnęły mocno ogniwo łączące ze sobą przez lata następne oba narody.

J. MROZIŃSKI

Z listów do redakcji

A dla młodzieży szkolnej?

W trakcie tegorocznej Olimpiady Chemicznej wśród serii zadań znajdowało się pytanie dotyczące książki popularno-naukowej pt.: „Chemia na usługach człowieka”, Jana Dębskiego. Okazało się, że wielu uczestników Olimpiady nie czytało jej mimo miesięcznego okresu wyznaczonego do opracowania tej serii zadań. Jasne, że jeszcze bardziej obca pozostała ona tej części młodzieży, która nie wzięła się do Olimpiady Chemicznej. A książka jest naprawdę pożyteczna i napisana ciekawie.

Więc... młodzież nasza nie lubi czytać? Nie chce sięgać po książkę pożyteczną, ciekawą, popularno-naukową, książkę, która uzupełnia i pogłębia wiedzę przyswojoną w szkole?

Całkiem mylnie wnioski. Rzecz ma się zupełnie inaczej. Książka ta była już od miesięcy wyczerpana, do wielu miast prowincjonalnych nie dotarła w ogóle. Dlaczego? Bo cały jej nakład wynosił „aż” 5.153 egzemplarzy.

WŚRÓD KSIĄŻEK

E. J. OSMANCZYK: Azja w Genewie. Zapiski korespondenta. W-wa 1955, PIW, z ilustracjami, zł 3.00

„Azja w Genewie”, to zbiór pisaných na gorąco reportaży, sprawozdań i notatek z trwającej od 25 kwietnia do 22 lipca 1954 konferencji, która przyniosła pokój Wietnamowi, ogromne podniesienie autorytetu politycznego narodów azjatyckich, a klasę kolonializmowi i polityce agresji. Część reportaży drukowana była w prasie polskiej i radzieckiej, część po raz pierwszy ukazuje się w tej książce.

STEFAN ARSKI: Targowica leży nad Atlantykem. Pasażerowie martwej wizji. W-wa 1955, KIW, zł 3.00

Wznowienie w jednym tomie dwu książek znanego publicysty, z których pierwsza ukazała się w r. 1952, druga zaś w roku ubiegłym. Jest to znakomicie, z talentem i pasją narysowany obraz emigracji politycznej z czasów ostatniej wojny, wraz z jej rodowodem, siegającym początków naszego stulecia. Historia odsłoniła już wystarczająco kulisy działalności pilsudczyzny, endeji, prawicowych ludowców i socjalistów, działalności, która hamowała rozwój Polski w ciągu dzieścioleci i uczyniła nasz kraj bezbronny. Książka Arskiego, to szkic dzieł zdrady i powojenne go rozkładu zdrajców, którzy gorączkowo poszukują u naszych wrogów poparcia, a przede wszystkim... pieniędzy. Czyta się ją jak świetną sensacyjną powieść.

Czy tylko w tym wypadku nakład był taki niski? Niestety, to nie jest wypadek wyjątkowy. Np. książeczka Dutilingera pt.: „Co każdy Polak o planie 6-letnim wie dzieć powinien?” została wydana w roku 1951 w nakładzie 10.250 egzemplarzy i dotychczas drugi nakład się nie ukazał. A powinien czytać ją każdy uczeń od klasy VII szkoły podstawowej wzwyż.

„Wszczęświat, życie, człowiek”, książka naprawdę popularno-naukowa, a przy tym tania, została wydana w lipcu 1954 r. w nakładzie 30.242 egzemplarzy, a już jesienią tegoż roku nie było jej na półkach księgarskich.

Gołembowicz „W zwierciadle chemii” ukazał się nakładem 30.171 egzemplarzy.

Druga sprawa: Każdy rozumie, że co innego jest broszura czy książka popularna, wydana dla szerokiego mas ludności, a więc utrzymaną na poziomie elementarnym, a całkiem co innego lektura popularno-naukowa, przy pomocy której młodzież szkolna ma pogłębić swoją wiedzę. Ta lektura musi odpowiadać programowi szkolnemu, musi stać na odpowiednim poziomie naukowym i posługiwać się metodami naukowymi. Młodzież szkolna potrzebuje osobnej książki popularno-naukowej.

Niestety, postulat tego nie uwzględniają instytucje wydawnicze. Na konferencji, która odbyła się w czerwcu 1954 r. w Poznaniu w sprawie czytelnictwa, delegat z Warszawy przyznał, że są one nastawione na wydawnictwa popularne dla najszerzego ogółu ludności, natomiast nie interesują się wydawaniem książek popularno-naukowych dla młodzieży szkolnej. Tak ważny odcinek pracy oświatowej leży więc odiygiem.

Stąd też apel do wszystkich, od których to zależy:

Wydawać dużo więcej broszur i książek popularno-naukowych dostosowanych do potrzeb młodzieży szkolnej. Nakłady ich muszą być znacznie większe. Chodzi tu przede wszystkim o dziedziny takie jak fizyka, chemia, matematyka, biologia — mają one największe znaczenie w związku z ogromnym rozwojem naszej gospodarki. Pisanie książek popularno-naukowych dla młodzieży szkolnej powierzyć należy tylko najlepszym fachowcom — specjalistom w danym przedmiocie; kontrola niech będzie tutaj szczególnie dokładna i wnikliwa.

Poza tym książka popularno-naukowa dla młodzieży szkolnej winna być szczególnie tania. Wreszcie — winno być zorganizowane informowanie szkół i młodzieży o wszelkich wydawnictwach tego rodzaju.

Wtedy czytelnictwo młodzieży wzrośnie bardzo silnie. Bo wśród młodzieży szkolnej istnieje naprawdę głód dobrej książki.

IG. EICHSTAEDT
kier. sekcji chemii WODKO

Świat — jakiego nie znamy

Wydawać by się mogło, że w świecie przez nas zamieszkanym wszystko zostało już sklasyfikowane, opisane i wreszcie odkryte: zwłaszcza jeżeli chodzi o zwierzęta — olbrzymy. Tak sądził już uczeni przed stu laty i mało dawali szans tym wszystkim, którzy poszukiwali na naszym globie dalszych wielkich stworzeń. A jednak rzeczywistość ostatnich kilkudziesięciu lat zadawała kłam tym sądom.

Nie minęło jeszcze lat pięćdziesiąt, gdy świat dowiedział się o nowym wielkim mięsożernym zwie-



rzęciu. Mowa tu o brunatnym niedźwiedziu kameczackim, który mierzy 3 metry wysokości i waży 700 kg. Podobnie odkrycie największego przedstawiciela spośród małp, nazwanego gorylem górskim, zostało dokonane dopiero w r. 1901. Wreszcie trzeba było czekać do roku 1920, ażeby przekonać się o istnieniu największego jaszczura, określonego jako „smok z Komodo” (jedna z wysp sundajskich). Potwór ten mierzący 4 metry, czyni wrażenie zwierzęcia pochodzącego z innego okresu.

TAJEMNICA „ŚNIEŻNEGO CZŁOWIEKA“

Największą jednak zagadką o benej doby, tylekroć już w publikacjach poruszaną, stanowi czołowiek śniegów, inaczej yeti, żyjący w Himalajach. Początki historii tego stworzenia sięgają roku 1951, kiedy to alpinista angielski Eric Shipton dokonał zdjęć fotograficznych, uwieczniając na nich ślady stóp nieznanego stworzenia. Różniły się one znacznie od zwykłych stóp ludzkich i mierzyły 35 cm długości. W ten sposób czuła błona fotograficzna istnienie czelkowskiego zwierzęcia wprowadziła w świat faktów. Dawne bowiem podania, przynosiły liczne, chociaż niesprawdzone wieści o przebywaniu w lodowcach Himalajów jakiejś istoty oraz o występowaniu na Jawie i w Chinach kolosalnych zwierząt zbliżonych kształtem do człowieka. Nikt jednak nie wierzył, aby podobny relikwiarz dawnych czasów mógł się jeszcze dochować.

Historia yeti poważnie poruszyła opinię i angielski dziennik „Daily Mail” wysłał w Himalaje ekspedycję naukową, w skład której wszedł również dziennikarz Ralph Izard. Obecnie Izard wydał książkę, obejmującą pasjonujące przygody związane z poszukiwaniem czołowieka śniegów.

MAŁPA - OLBRZYM

Ekipa nie napotkała żyjącego yeti. Znalezione jedynie ślady stóp ciągnące się na przestrzeni wielu kilometrów, a odciski palców były tym razem mniejsze aniżeli

te z fotografii Shiptona. Lecz ktoż to jest właściwie ów yeti? Czyżby nim była jakaś istota czelkowska, na niedźwiedź górski, bądź inne zwierzę nieznane do tej pory gatunku?

Pewne świadectwa przynoszą relacje mieszkańców Himalajów, spośród których wielu widziało w swym życiu autentycznego czołowieka gór. I tak jeden z nich opisał nawet Izardowi wygląd napotkanego yeti. Jest to więc zwierzę przypominające postać olbrzymiego czołowieka poruszającego się na kończynach dolnych. Ciało posiada obrosłe długą sierścią, a tułów jest lekko pochylony do przodu. Co ciekawse jednak, że wszyscy, którzy widzieli raz chociażby czołowieka śniegów, opisują go w podobny sposób.

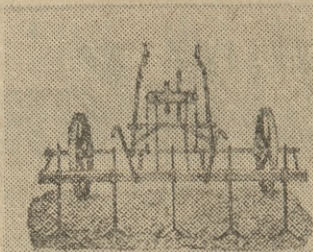
Największym odkryciem wspomnianej angielskiej ekspedycji było odnalezienie w pewnym klasztorze nepalskim skalpu yeti. Skóra z czaszki tej istoty była pokryta sierścią, która po dokładnej analizie wykazała, że nie należy do żadnego zwierzęcia sklasyfikowanego przez naukę. Użonzy nazwiskiem Heuvelmans, określił przynależność owego skalpu do wielkiej dwunożnej małpy, mierzącej najmniej 2,40 m wysokości, o twarzy piaskiej, czole stosunkowo prostym i okrągłym sklepieniu czaszki. Ciało jej było pokryte owłosieniem koloru płowego z nalotem brązowym.

CZY SPOTKAMY GO ŻYWEGO?

Tyle podaje angielski dziennikarz Izard, dodając w zakończeniu, że szanse napotkania żywego czołowieka śniegów przez ekspedycję są bardzo niske. Na poparcie swych słów przytacza taki argument: wielka wyprawa poruszająca się na zaśnieżonych przestrzeniach górskich jest bardzo łatwo dostrzegalna, a yeti przebywający na dużych wysokościach łatwo potrafi ominąć zbliżającą się nagonkę.

Jakkolwiek jest, świat przyjął już możliwość istnienia owego legendarnego czołowieka gór. Pozostaje go tylko odnaleźć żywym. Lecz to już całkiem inna historia...

JAN MAKOWSKI
(wg „Les Lettres françaises“)



Wypielacz konny używany głównie w gospodarstwach obszarowych (r. 1897)

Początki uprawy kukurydzy na szerszą skalę sięgają w Wielkopolsce lat 60-tych XIX w. W rolnictwie Wielkopolski tego czasu obserwujemy pierwsze przesłanki narastania układu kapitalistycznego, wyrażające się w zastosowaniu płodozmianu i tzw. specjalizacji rolnictwa (uprawa zbóż, hodowla itp.). Ma to miejsce szczególnie w gospodarstwach obszarowych, które w wielu wypadkach przedstawiały się na hodowlę. Kukurydza zapewniała tym gospodarstwom dostateczną ilość paszy i to wysokoekologicznej. W latach 60-tych XIX stulecia następuje okres nasilenia uprawy kukurydzy, jako rośliny paszodajnej, która trwa do około roku 1912. Po tym roku zaczyna się szybkie w uprawie kukurydzy, która jest z całą siłą wypierana przez inne uprawy.

W tym ostatnim okresie od 1880 do 1912 oprócz gospodarstw obszarowych zaczyna się również uprawiać kukurydzę i to na szerokość w gospodarstwach chłopskich, które posiadały stosunkowo wysoko rozwiniętą hodowlę krów dojnych. Kukurydza bowiem wpływała bardzo wydatnie na wzrost mleczności krów i procent zawartości tłuszczu w mleku. Tak oto pisze na ten temat jeden z rolników wielkopolskich w roku 1883: „Zaraz po rozpoczęciu karmienia kukurydzą zaczęły krowy dawać więcej mleka nadzwyczaj tłustego. Produkcja jego nagle zaczęła się zmniejszać i im więcej i im dłużej karmienie kukurydzą trwało. Mleko to dawało dwa razy więcej masła, niż po innej karmie.” Kukurydza używana wówczas jako paszy również i dla koni, świń, drobiu itp. Początkowo uprawiano ją przeważnie na zielonkę. Produkcja ją ziarno zaczęła się rozwijać szerzej dopiero w latach 80-tych XIX w. wraz z rozwojem hodowli trzody chlewnej a głównie tuczników. Miało to miejsce głównie w okolicach większych ośrodków miejskich.

Tak w pierwszym jak i drugim okresie importowano poważne ilo-

*) Ziemiańin — Tygodnik nr 33 r. 1863.

Mgr M. Skrzek

Stuletnia tradycja paszodajnych kaczanów

Jednym z czołowych zagadnień, jakie stanęły po IV Plenum przed naszym rolnictwem na obecnym etapie, jest zagadnienie rozwiązania problemu paszowego. Osiągnięć to można m. in. drogą upowszechnienia uprawy tak paszodajnej rośliny, jaką jest kukurydza. Pierwsze kroki w tym kierunku poczynili już w roku bieżącym rolnicy naszego województwa, realizując w pewnym zakresie uchwały Prezydium Rządu. Sprawa rozszerzenia arealu uprawy kukurydzy w ciągu najbliższych lat jest nadal na wsi wielkopolskiej bardzo aktualna.

Wśród wypowiedzi na ten temat słyszy się niejednokrotnie głosy, jakoby klimat Wielkopolski nie odpowiadał uprawie kukurydzy, lub też, że kukurydza się „u nas nie przyjmuje”.

Tego rodzaju twierdzenia nie posiadają żadnego uzasadnienia, jeśli zważymy, że uprawa kukurydzy na paszę w Wielkopolsce posiada już blisko stuletnią tradycję.

ści kukurydzy nasiennej z zagranicy. Niejednokrotnie docierały do Poznania drogą wodną całe transporty kukurydzy nasiennej bezpośrednio z Ameryki. Najbardziej rozpowszechnioną bowiem w Wielkopolsce tego czasu była uprawa kukurydzy białej i żółtej amerykańskiej, badeńskiej i styryjskiej. W mniejszym stopniu uprawiano odmianę tzw. węgierskiej, czy też Cinquantino. W dużej mierze zapo-



Wypielacz ręczny z r. 1884

trzebowanie Wielkopolski na kukurydzę nasenną zaspokajały południowo-zachodnie prowincje Niemiec.

Więć wielkopolska zaopatrywała się wówczas w kukurydzę nasenną bądź to za pośrednictwem kółek rolniczych, bądź też poszczególni rolnicy nabywali ją indywidualnie za pośrednictwem kupców. Chłopi zorganizowani w kółkach rolniczych sprowadzili w jednym tylko roku 1884 około 4.000 kg kukurydzy nasiennej. Rekord pod tym względem pobili członkowie kółka rolni-

czego w Czachu, pow. Kościan, którzy w roku 1901 sprowadzili aż 9.100 kg kukurydzy do siewu. Biorąc zatem 40 kg kukurydzy za przeciętną wysiewu na 1 ha, otrzymamy w tym ostatnim wypadku 225 ha obsianych kukurydzą. Przytoczone tu dane liczbowe świadczą bardzo wyraźnie o rosnącym z roku na rok areale uprawy kukurydzy w Wielkopolsce XIX wieku.

Najbardziej rozpowszechniona była uprawa kukurydzy w powiecie kościańskim, gdzie w drugiej połowie XIX w. kółka rolnicze w Czempiniu, Czachu, Dalewie, Wysocki i Wyszanowie sprowadzały po kilkadziesiąt cetnarów kukurydzy nasiennej rocznie. W powiecie Środa kukurydzę nasenną sprowadzano za pośrednictwem kółek rolniczych w Brodowie, Dąbiczu, Wielkich Jeziorach i innych. Większe pola kukurydzy spotkać można było wówczas w Murowanej Gościńi, Górganowie i okolicznych wsiach. W byłym powiecie Krobia sprowadzały większe ilości kukurydzy nasiennej kółka rolnicze w Jutrosinie, Pepowie, Słupi i inne. Popularną była również uprawa kukurydzy szczególnie w drugiej połowie XIX w. w takich powiatach Wielkopolski jak: Nowy Tomiśl, Chodzież, Jarocin, Kępno, Ostrzeszów, Pleszew, Szamotuły, Wągrowiec i Września.

Pomimo prymitywnych wówczas sposobów uprawy i pielęgnacji kukurydzy w poszczególnych stadiach jej wzrostu, plony zbierano względnie obficie. O wydajności z ha kukurydzy uprawianej na zielonkę świadczy bardzo wymownie relacja jednego z jej producentów z r. 1863, który tak o tym mówi: „Dla doświadczenia, ile też może być z jednej paszy z jednej morgi (magdb.) kukurydzy, skrupulatnie ją dalek zważyłem i przekonałem się, że więcej niż 400, mówię czterysta cetnarów... Zaden plód tyle nie przyniesie korzyści co kukurydza na zieloną paszę sprzątniętą. Może mi kto powie, że obławianie ziarnem kukurydzy okopowymi więcej przyniesie niż kukurydza pastewna, ale pytam się, czy jest plód u nas uprawiany, który wynagrodzi 300 lub 400 cetnarów zielonej paszy? Żadna roślina handlowa, ani olejna tyle nie przyniesie zysku gospodarzowi.”**) Relacja ta nie wymaga chyba żadnych komentarzy. Jej wymowność powinna jedynie pobudzić rolników do upowszechnienia uprawy tej tak cennej dla rolnictwa rośliny.

**) Ziemiańin — Tygodnik nr 33 r. 1863.

Jabłka miłości

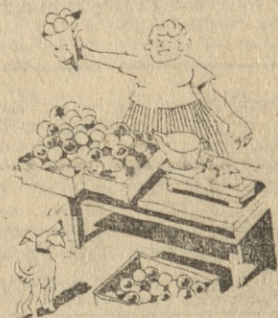
Pommes d'amour — jabłkami miłości nazywają Francuzi owoc pomidorów, chociaż słowo pomidor również wywodzi się z określenia „złote jabłko” (pom me d'or). Austria wprowadziła ustepuje pod względem wykwintnej kuchni Francji, jednak wie deńcy, znani ze swego pogodnego umysłu, nazywają pomidory „Paradeiser”, co chyba



skojarzyć można z paradysem — innymi słowy, z rajem: a więc z rajska jabłkiem.

Często jeszcze w języku potocznym spotyka się nazwę tomat, jako, że słowo to wywodzi się od portugalskiego „Tomato”. Jeżeli wreszcie dodamy, że pomidory przywędrowały do nas z kraju inków, a więc z Peru, wówczas w zasadzie zamykamy ten krótki zarys słowotwórczy ulubionego przez wszystkich owocu jesiennego, w równej mierze w naszych czasach popularnego, jak tytoń bądź kartofel.

Pomidor należy do owoców lu biących ciepło słoneczne i setki lat upłynęły, zanim zaaklimatyzowały się i przyjął w naszym kraju. Początkowo traktowano go jako krzew ozdobny, szczególnie w Anglii. I znowu Francuzom należy się wdzięczność za odkrycie w nim owocu o doskonałym smaku oraz wszechstronnym zastosowaniu w kuchni. Po rewolucji francuskiej — pomidory przeniosły się poza Ren na wschód i po zdobyciu podniebienia mieszkaniec Niemiec południowych oraz Austrii, przywędrowały wreszcie do nas. Z początku ich specyficzny zapach oraz dość cierpki



smak nie każdemu smakoszowi odpowiadał. Zresztą, sam owoc bronił się przed przeniesieniem go w zimniejsze regiony.

Wielką kartę zapisał w historii pomidora ci ogrodnicy, którzy swą cierpliwością oraz wrodzonym kunsztem potrafili nadać owocowi konieczną w naszych szerokościach geograficznych odporność na przymrozki.

Bez przesady można powiedzieć, że pomidory należą obecnie do najwięcej popularnych owoców, spożywanych dosłownie przez całe społeczeństwo naszego kraju. Przez swoją bogatą zawartość witamin (A, B i C) oraz soli mineralnych stały się one nie tylko artykułem pierwszej potrzeby, lecz również owocem zdrowia. (j)

Z całego świata

KOMBAJN W KAMIENIOŁOMACH

Konstruktorzy radzieccy stworzyli potężną maszynę do kopania ziemi — koparkę kroczącą, posuwającą się po ziemi przy pomocy specjalnych metalowych łap. Tę zasadę posuwania się mechanizmów ciężkich po ziemi wykorzystuje się obecnie również w innych dziedzinach techniki. Inżynierowie leningradzcy zastosowali ją przy projektowaniu kombajnu do eksploatacji złóż kredowych.

Pierwszy taki agregat wykonał pracownik zakładu „Metallist”. Składa się on z dwóch maszyn zaopatrzonych w potężne, szybko obracające się frezy, które podobne są do grubej piły tarczowej. Jedną z maszyn kombajnu rozpliwuje warstwę kredową w kierunku przeciwnym, druga — w kierunku podłużnym, ścina nacięte szczytami i przy pomocy urządzenia zgarniającego ładuje je do samochodu lub wagonetki. W ten sposób kombajn całkowicie mechanizuje wydobycie cennego surowca budowlanego.

Kombajn kroczący znajduje zastosowanie przy eksploatacji również innych skał górskich. (B)

Prawo do życia

(Dokończenie ze str. 1)

i elektrowni lub topi w morzu. Ponieważ zaś trudno bezrobotnymi doktorami i inżynierami palić w piecach lub karmić ryby w oceanie, przeto pozostawia się ich własnemu losowi, nierzadziej bardziej bolesnemu od śmierci!”

Nadprodukcja ludzi z cenzusem? — Owszem, znamy tę chorobę kapitalizmu. Ale czy kapitalizm nie cierpi przypadkiem na nadprodukcję ludzi w ogóle? Czyż dowodem tego nie są milionowe rzesze bezrobotnych we wszystkich krajach kapitalistycznych? Bezrobotnych wszystkich zawodów — albo bez żadnego zawodu... Samych kapitalistów też jest za wielu; iluż to pomniejszych szupczupczków niszczy co roku bezwzględne prawo koncentracji, ilu rujnuje bezlitosna walka konkurencyjna! Miejsca dla rekinów! Przestrzeni życiowej, „Lebensraum”! W imię tej zasady malarz o umyśle zbrodniarza palił w piecach nie tylko doktorami i inżynierami, lecz całymi miastami i narodami.

Interesy „człowieka z łokciami“

Jak więc radzi sobie Chojeza z ciężką sytuacją, wynikłą z „nadprodukcji” ludzi z cenzusem? Chwyta się — jak wiemy — dzierżawy sądów, należących do obszarników i handluje owocami. Ponieważ jest „człowiekiem z łokciami”, więc szuka dzierżaw w majątkach podupadłych, bliskich ruiny, by łasy na każdy grosz, siedzącym w matni szlachciurom móc dyktować swoje warunki.

Orkan nie może się z tym zgodzić:

„...Instynkt uczciwości mówił mi, że to wszystko dzieje się z krzywdą właściciela ogrodu. Jakże można za obiekt wartości piętnastu tysięcy dawać trzy i pół, a właściwie czterdzieście? Czy pan Oliński tego nie widzi? Powinien ganić ludzi, którzy wyzyskują jego chwilowo ciężką sytuację materialną, stwarzali sobie synekury jego kosztem i dorabiali się po kilku latach wcale przyzwoitych kapitałów.

Chojeza, jakby odpowiadając myśli Orkana, odezwał się:

— Nie dziwię się zbytnio tobie,

boś pierwszy raz dotknął się takiego interesu, a może w ogóle interesów. Widzisz, interes zawsze polega na tym, że jeden traci to, co drugi zarabia. Na pozór wydaje się to nieuczciwe, a jednak wszyscy to robią i nawet prawo opiekuje się takimi ludźmi, byleby ich czynności prawne były należycie ostemplowane i opodatkowane.”

Przedwrzniętym uniwersytecie, pielęgnujący raczej „tradycje” bicia Żydów, niż tradycje naukowe, nie nauczyli Orkana, na czym polega prawo koncentracji kapitału. Dlatego też Orkan nie mógł wiedzieć, że jeśli kapitał przechodzi z rąk słabszego, mniej bezwzględniego, do rąk silniejszego, drańczego, by w tych rękach koncentrować się dla osiągnięcia jeszcze większych zysków — że to właśnie jest owo bezlitosne prawo kapitalizmu. To prawo też kieruje działalnością Chojezy. Do jednej, i tak bardzo intratnej dzierżawy, dołącza drugą, jeszcze bardziej dochodową. Orkan jest zdumiony:

— „Hm, nie ma co mówić, jeśli w takim temple będziesz robił interesy, to szybko dojdiesz do majątku!”

Obrastający w tłuszcz Chojeza, Chojeza — kapitalista w stadium embrionalnym, jest wspaniałomyślny i nie zapomina o swych byłych towarzyszach niedoli, bezrobotnych intelektualach. Prócz Orkana angażuje do swego interesu dalszych „godnych” — jak ich nazywa — ludzi: wykołajonego oficera rezerwy i bezrobotnego doktora filozofii.

Recepta à la Olszakowski

Kariera Chojezy — oto jedyna droga, jaką potrafi wskazać autor bezrobotnym intelektualom. Droga ta zresztą odpowiada w pełni „ideologii” burżuazyjnej, zamykającej się w hasło: „gryź, albo ciebie zagryzą”. Olszakowski wie, że istnieje inna droga, ale droga ta — jego zdaniem — nie może być drogą inteligencji:

— Inżynierowie, zajmujący marne posadki lub trudniący się drobnym handlem, doktorowie filozofii, pełniący obowiązki stróżów, oficerowie rezerwy, zgarniający

kosztownymi z zimna rękoma śnieg na ulicach miast, stanowią olbrzymi tłum, który nigdy nie pójdzie z pieśnią rewolucyjną na ustach domagać się prawa do życia! Wiedza oni, jak łatwo jest zburzyć porządek świata, a jak trudno ustanowić nowy ład! Będą umierać śmiercią cichych bohaterów, śmiercią głodową!”

— woła Orkan w sędzie, broniąc swego kolegi, doktora filozofii, który — pilnując jednego z ogrodów Chojezy — niechętnie zabił człowieka.

To prawda, że jedyną siłą, zdolną obalić stary porządek świata i zbudować nowy ład — jest klasa robotnicza.

My wiemy o tym dobrze. Ale wiemy też, jak wielu trzeźwych i rozsądnych intelektualistów, ludzi o otwartych umysłach i gorących sercach, szczerych patriotów, towarzyszy i towarzyszy robotnikom w walce rewolucyjnej, ginące często na trudnych posterunkach. A lepiej przecież paść w walce, niż umrzeć z głodu!

Tego nie wiedział i nie rozumiał pisarz mieszczański — Olszakowski i dlatego tak właśnie pokierował losami swych bohaterów, przedstawiając jednak inteligencji obiektywną prawdę o sytuacji w Polsce sanacji i faszyzmu.

Dlatego książkę tę wyciągnąłem z rupieciarni i przypomniałem o niej myśląc o moich trzech nieznanym przyjaciółch w czapkach studenckich: Józku, Kaziku i Rysku.

Jutro, na przystanku, spotkam ich znowu. Będą rozmawiali o ostatnim meczu „Kolejarza”, o nowym filmie Gërrarda Philipe i o tym, że lato było piękne tego roku i że niejedna niedziela spędziło się z dziewczętami nad Rusałką. Będą rozmawiali także o nauce, uczyć się przecież pilnie.

Kiedys pewnie Rysiek znów powie:

— Ech, chłopaki, żeby tak do Kędzierzyna!...

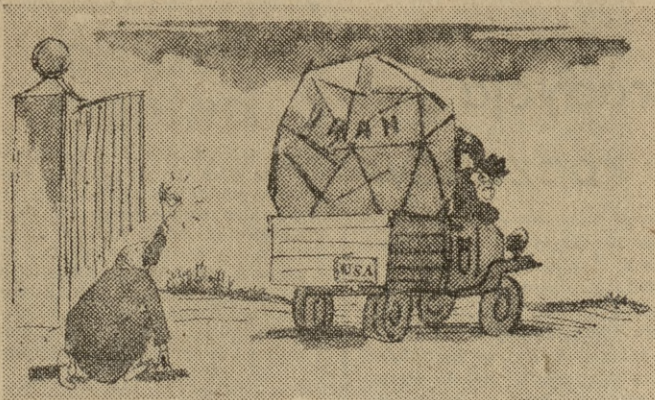
Nie prościej! Kędzierzyn czeka na was, chłopcy, nowe życie, do którego macie pełne prawo.

Stefan Kornik

Goście w polskich Tatrach



Wielu turystów radzieckich przybyło do Polski, aby zwiedzić najciekawsze zakątki naszego kraju. Jedną z grup turystów, jaką widzimy na zdjęciu, podziwia piękno naszych Tatr.



— Mister Dulles, pan zgubił ziarnko uranu.
— Nie szkodzi, w sam raz wystarczy na cele pokojowe.
Rys. K. Ferster

WITOLD DEGLER

Traszi

ARS LONGA — VITA BREVIS...

Z przyszłości czerpać trza nauki.
Widz w teatrze rzekł ze smutkiem:
„Sztuka długa — życie krótkie...“
Wyszedł więc przed koncem sztuki.

GLEBOKI CZŁOWIEK

Podziw jego głębokie wnętrze:
ho, he! wypija co dzień trzy głębsze!

NA KURACJI

W pewnej dziewczynie
powstała myśl złota:
Prawdziwa cnota
nie boi się błota...
I zanurzyła się w borowinie.

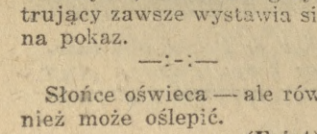
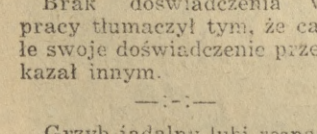
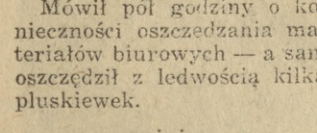
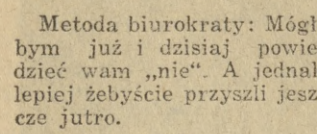
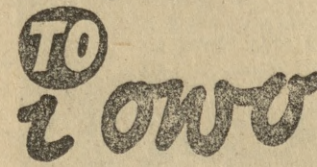
Z TRAMWAJOWYCH ROZMÓWEK

Spraszani niby śledzie,
tak w tramwaju gwarzym z rana:
„Można zemdleć — ale jedzie...“
„Tramwaj?“ — Nie — od tego pana!...“

NA PRZERAFINOWANEGO

Za twoich słów subtelne wdzięki,
za delikatność — cię pochwałę.
Lecz czemu dowieć masz tak cienki,
że go nie widzę wcale?

Rysunki bez podpisu



NIE TYLKO O SZACHACH

Niech nigdy figura pionkiem
nie pomiata:
czasem zwykły pionek da kró-
lowi mata!

O PISARZU ORYGINALNYM

Jego oryginalność ma tę dziwną
stronę,
że na ogół tworzy rzeczy nie-
stworzone...

Włodzimierz Scisłowski

RUCH BEZDŹWIĘKOWY

Auta nie trąbią, ludzie nie
krzyczą,
za to traktory podwójnie
ryczą.

NA NIEKTÓRYCH
URZĘDNIKÓW

Są grzeczni wszędzie
tylko nie w urzędzie.

Rajmund Grzonka

CZEMU...

Czemu dziwisz się, o pani,
Żem od ciebie odszedł nagle?
Wszak dążyłaś do przystani.
Więc musiałem zwinąć żagle.

BIGOTOWI

W tę jego nabożność nie wierzę,
gdy obserwuję jej skutki —
Wszak dążyłaś do przystani,
zbyt rzadko odmawiaś modli.

Lech Kenopiński

Koń i wielbłąd

Powiadają, że pewnego razu
koń przejeżdżał się w czy-
stym jak kryształ strumieniu
uczuł niewymowny wstręt do
własnej postaci i jęł gorzko
złorzeczyć losowi.

— Co ci to?... — pyta Jo-
wisz.

— Zrozpaczony jestem wias-
ną brzydota! — odpowiada
koń. — Nogi mam zbyt krót-
kie, grzywę nieosobiwą, grzbi-
et nie nadający się do jazdy
wierzchem... Przeklęty dzień, w
którym ujrzałem światło!

Jedni wychodzili, drudzy
przychodzili. Tylko on
nie ruszał się z miejsca.
Siedział przy stoliku pod ze-
garem, który wydzwaniał
godziny skrzypiące straszli-
wie zardzewiałym mechaniz-
mem.

Kelner podchodził kilka
razy i pytał natarczywie,
czy coś jeszcze podać. No, bo
czy można siedzieć tyle go-
dzin przy jednej szklance
herbaty. On nie odpowiadał
na pytania, jakby ich nie
słyszał. Zastygł w bezru-
chu podobny do figury wo-
skowej, wpatrywał się w
drzwi kawiarni. Nie trudno
było odgadnąć, że czeka.

Na co czekał? Na kogo?
— To jasne — powie-
dział starszy kelner do młod-
szego kelnera. — On czeka
na kobietę. Umówił się, a
ona nie przychodzi, ale nie
traci nadziei i czeka. Nor-
malna historia.

Przy stoliku pod oknem
pożerała ciastka z kremem
dwie dziewczyny w wieku
licealnym.

— Patrz — rzekła pierw-
sza do drugiej — ten mę-
czyzna czeka na kobietę.

— Na kochankę — popra-
wiła druga.

— Na kochankę nie cze-
ka się w kawiarni — stwier-
dziła pierwsza.

dziła pierwsza. On czeka na
narzeczoną.

W pobliżu bufetu sączył
drobnymi łyżkami nektar
kawowy szczupły jegomość
w binoklach na nosie. Mru-
żył oczy i przypatrując się
temu, który siedział pod ze-
garem — myślał: „On czeka
na żonę. Czekaj, bo porzuciła
go przed laty. Poznali się w
tej kawiarni, więc przyszedł
i czeka, wierząc, że ona wró-
ci. Bardzo romantyczna hi-
storia“.

Jakiś młody człowiek po-
wiedział do nieco starszej od
siebie damy:

— To joga. Znam się na
tym. Trwa w kontemplacji.

— Nie, to poeta — odpo-
wiedziała nieco starsza da-
ma. — Spójrz na jego wło-
sy.

Minęła jeszcze jedna go-
dzina. On siedział. Zaobser-
wowano, że w ciągu tej go-
dziny dwukrotnie zamieszał
łyżeczką zimną herbatę, raz
wzdrygnął się nie wiadomo
dlaczego, a zaraz potem
ciężko westchnął. W dalszym
ciągu był bardzo zamyślony
i wpatrywał się w drzwi.

— Wiesz ty co — powie-
działa dziewczyna w wieku
licealnym do koleżanki, któ-
ra kończyła właśnie czterna-
ste ciastko. — On wygląda

na belfra. Chodźmy do do-
mu, bo będzie chryja, że
wieczorami przesiadujemy
w nocnym lokalu. — Wy-
szły po chwili.

Szczupły jegomość regu-
lował rachunek myśląc:
„Wczoraj w biurze mówili,
że przychodzi nowy perso-
nalny. On wygląda na per-
sonalnego. Pójdę do domu,
żeby uniknąć podejrzeń od-
nośnie swego morale“. Po-
prawił binokle i wyszedł o-
glądając się za siebie.

Starszy kelner podszedł
do młodszego kelnera. —
Miej się na baczności —
rzekł szeptem — to na pew-
no inspektor. Kontroluje ob-
sługę klientów. Rozumiesz.
Powiedz bufetowej, niech
dyskretnie zmieni fartuch.

Przed dziesiątą kawiarnia
opustoszała. Wówczas
on zawolał kelnera.

— Panie — przemówił
czerwieniąc się i blednąc na
przemian. — Siadając zaha-
czyłem spodniemi o gwóźdź
w krześle. Makabryczna sy-
tuacja, przysięgam, że naj-
mniejszym ruchem darłem
spodnie. Jestem skromnym i
nieco wstydliwym człowiekiem.
Czekałem aż wszyscy wyjdą.
Niech mi pan pomoże, mój
drogi... tylko ostrożnie...
Bardzo proszę.

PAWEŁ REWICZ

Kienko NA ZACHÓD

KOLOROWY DYMEK

Niezwykły wynalazek opa-
tentowano ostatnio we Wło-
zech. Mianowicie niejaki
Manfredo Candler sprepara-
wał w ten sposób tyton dla
damskich papierosów, że pod-
czas palenia wydziela się dy-
mek w odpowiednich kolo-
rach. Signore Candler uzasa-
dnił swój pomysł następują-
co: Odtąd każda dama za-
stosuje dymek z papierosa do
koloru swej sukni!

SILA WYMOWY PASTORA

Pewien amerykański pastor,
który nocą prowadzi taksów-
kę samochodową, udowodnił,
że wart jest swego powołania.
Niedawno późną nocą wsiadł
do jego samochodu pasażer,
który w czasie jazdy przyłożył
duchownemu szoferowi nóż
do gardła w zamiarze doko-
nania morderstwa rabunko-
wego. Pastor nie stracił zim-
nej krwi, a swym darem wy-
mowy potrafił tak dalece
skruszyć pasażera, że ten po-
prosił go, aby zawieziono go
do najbliższego komisariatu
policyjnego.

FATALNE LUSTRO

Reporterowi O. W. Hattery
skradziono w australijskim
uzdrowisku Alice Springs ka-
merę fotograficzną. Po kilku
godzinach detektywi odnaleź-
li w zakamarkach hotelu cen-
ny przedmiot. Prowadząc dal-
sze poszukiwania, policja wy-
wołała film nawinięty w apa-
racie i po kilku minutach



— Rzeczywiście, baraż zdolne
stworzenie. Ale, jeżeli chodzi o je-
go występ w telewizji, słyszałem
już wiedeńskiego w lepszym wy-
konaniu.

złodziej znalazł się w potrza-
sku. Jakim sposobem? Otoż
początkujący „szczer hotelo-
wy“ bawił się ukradzioną ka-
mera, w której w pewnej
chwili doszło do wyzwolenia
się migawki, a czuła błona
fotograficzna uwieczniła pro-
fil złodzieja, odbity w wiel-
kim lustrze ściennym.

FRONTEM DO KLIENTA

Probstwo nowojorskiego
Kościoła Wspomnienia wpro-
wadziło dla wygody swoich
wyznawców oryginalną służ-
bę telefoniczną. Po prostu
pewne modlitwy zostały na-
grane na taśmę dźwiękową i
od tej pory po nakręceniu
odpowiedniego numeru każdy
może usłyszeć swe ulubione
słowa. Ta innowacja wzbud-
ziła wielki entuzjazm u do-
tychczasowych wiernych, a
jednocześnie przysporzyła
wspomnianemu kościołowi no-
we zastępy „wyznawców“.

Tragedia

Jam romantyk — ona antyk
Pytam zatem się naawnie:
— Jak pracować kolektywnie?...

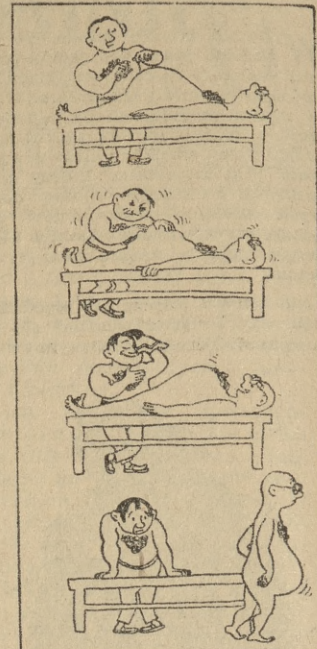
Konrad Doberschütz

Byczki w pomidorach

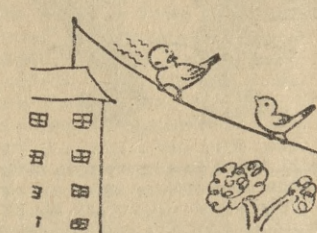


Rys. H. Bidstrup (Kopenhaga)

Masażysta



(„N. Berliner Illustrierte“)



— Posłuchaj, to Koterbska...



— Przepraszam, czy to pan mówił, że po praniu się skureczy?
rys. Józef Bruchnalski

SEZON OTWARTY

Pierścienie jak gwiazdy, bochenki — nie tapy
pod żywcem tonowym stękają kanapy.
Któż krem albo ciastko z otchłani im wydrze?
Zasiadły, pojadły, — tkwi wydra przy wydrze!
Gadają, szepczą, plotkują, wzdychają...
Pokłonmy się Franiom, Bożenom i Aniom,
gdyż tworzą nam symbol kobiety-plotkarki,
te babki — kanapki, jedzuchny, jedzarki...
Bo ja — czy mi wierzą, czy też mi nie wierzą —
ja też cenię wydrę — tę na kolnierzu.

STANISŁAW KROKOWSKI

Anegdota

Angielski mąż stanu lord
Londonderry (wiek XVIII) cho-
dził zawsze wyjątkowo niechluj-
nie i niedbale ubrany. Jeden z
jego przyjaciół spotkał go kie-
dys na ulicach Londynu w dzu-
rawym, wyświeconym garni-
rze. Zwrócił mu na to uwagę,
ale lord Londonderry odpo-
wiedział beztrząsco:

— Ach, to nie ma znaczenia.

Przecież tutaj wszyscy mnie
znają i wiedzą kim jestem.

Po jakimś czasie ten sam
pan spotkał lorda w Paryżu i
zobaczył, że ma on na sobie to
samo ubranie, zwrócił mu więc
wymówkę. A lord na to:

— To nie ma żadnego zna-
czenia. Przecież tutaj nikt
mnie nie zna.

Rabelais dawał pewnego ra-
zu w towarzystwie, gdzie znaj-
dował się między innymi poeta-
satyryk, który odczytywał swo-
je epigramaty skierowane wy-
łącznie przeciwko nieboszczy-
kom. Gdy potem kilku obecnych
zwróciło się do autora „Gargan-
tui i Pantagruela“ z zapy-
taniem, czy nie zechciałby rów-
nież odczytać kilku swoich u-
szczypliwych epigramatów dla
zabawienia towarzysztwa, Ra-
belais odparł z uśmiechem:

„Niestety, nie mogę zadość-
uczynić waszej prośbie! Moja
cała banda jeszcze żyje!“